

Witold Kaliński

ZASADZKA NA REGIONALNEGO POETĘ

REGIONALIZM w *Encyklopedii szkolnej. Literatura i nauka o języku* oznacza „element językowy właściwy określonemu obszarowi geograficznemu kraju (...) występujący w mowie potocznej osób wykształconych zamieszkałych na tym obszarze”. Jest zatem pojęciem z zakresu języka (mówionego) i synonimem prowincjonalizmu. Podobnie rzecz ujmuje *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*. Nie o taki sens słowa nam idzie.

Szerokie rozumienie słowa pojawia się w artykule *Regionalizm w Słowniku literatury polskiej XX wieku (Vademecum polonisty)*. Sam artykuł odsyła m.in. do klasycznej rozprawy Stefanii Skwarczyńskiej *Regionalizm a główne kierunki teorii literatury* (1937), ale stan badań sięga końca lat osiemdziesiątych XX w. Przytoczmy fragment obszernej definicji głównego dziś, jak się wydaje, znaczenia słowa:

(...) jeśli utwór krąży zasadniczo w obiegu regionalnym – to należy do literatury regionalnej bez względu na jego specyfikę (...) Może to więc być utwór (...) amatora i pisarza zawodowego. Z chwilą gdy ten sam utwór przechodzi do obiegu ogólnonarodowego – przestaje należeć do literatury regionalnej (...)

Odnotowawszy to, porzucamy drogę uczonych rozważań (m.in. ciekawe ustalenia K.L.Konińskiego; Lwów 1938), a zajmiemy się zagrożeniami, jakie niesie dla piszącego wiersze lokowanie się wewnątrz nurtu, opisywanego pojęciem „regionalizm”. Oto niektóre z owych zagrożeń.

1. Łatwość ulegania rzewnym wzruszeniom. Regułą „prawdziwego regionalisty” (a nie stylizatora) okazuje się eksponowanie mniemania, że „jego” subkraina jest najpiękniejsza w ogóle (czasem w formie bardziej oszczędnej: uboga i skromna, ale „moja”) i pod wieloma względami niepowtarzalna.

Tymczasem wiadomo, że krain p o d k a ż d y m w z g l ę d e m możliwych do wskazania jako równie piękne – jest wiele. Gór Beskidu nie znamionuje nic tak szczególnie, by opisywać raczej je niż Alzację, Rodopy czy falistą a przymorską Bretanię. Podobnie – jeśli kto lubi równinę – Mazowsze, a dalej pojezierza, półwysp Bałtyku... Co do Tatr, ciekawe, że są one innymi górami po polskiej, a innymi (kulturowo) – po słowackiej stronie; jedynie Janosik dał się poniekąd zinternacjonalizować.

[[Tu podwójny nawias, by ukryć prawdę: autor tych słów o c z y w i ś c i e nie zamieniłby Beskidu na jakąś tam Alzację, chociaż gdy w niej mieszkał, „wszystkiego” mieszkańcom „zazdrościł”.]]

Oczywiście, na „mojość” odpowiedzi nie ma. Każdy gdzieś doznał *imprintingu* i należy tylko podziwiać Tuwima, że „Kwiaty polskie” poświęcił w tak znacznym stopniu

Warszawie, nie zaś Łodzi. Traktowana z humorem lub jako element autobiograficzny, „mojość” oznaczać by mogła wielce wartościowe zanurzenie w szczególe, do którego daremnie próbowałby dotrzeć pisarz gdzie indziej urodzony (chyba że jest Monika Fabisiak, znakomitą autorką muzyńską). Na pewno zaś oznacza zanurzenie w gwarze lub żargonie.

To „mój” region miałby się okazać terenem szczerego życia pełnych prostoty mieszkańców. Pewna miara prymitywu egzystencji stanowiłaby ewangeliczną cnotę – a doświadczenie podpowiada, że często byłaby nią istotnie (pomijamy smętny prymityw przekonań, że Inny jest niecałym człowiekiem).

Łatwo tu o nastroje antymiejskie, a w każdym razie – antywielkemiejskie. Tam są „obcy”, tu – nasi. Tam kłamią w oparach hut i fabryk (a jeszcze gorzej: urzędów), tu oddychamy czystym powietrzem i mówimy prawdę prosto w oczy (czasem: między oczy). Tam są gazety, tu – plotka. Tam... – tu...

I rzeczywiście, trudno byłoby nie dostrzec, że w takiej oto Wierchomla dzieci szkolne, mijane po drodze, często mówią nieznanemu „dzień dobry”. I powietrze czystsze. (Ale już pozdrowienia „szczęść Boże” ostatnio się nie spotyka, a w potoku lepiej się nie kapać, właśnie za sprawą „pełnych prostoty mieszkańców”).

Dla naszych rozważań pozostaje z tego tyle, że poeta regionalny bywa czasem nie-doświadczony, iż wybiera „jasną stronę Mocy”.

Ponieważ jednak samą „jasną stroną” nie da się pisać (skoro pisanie to urzeczenie trwożą egzystencji), więc poezja ta dotyka dramatu tam, gdzie sięga do zdarzeń pełnego trudu życia osób najbliższych, a szczególnie – do (ich) śmierci. Do egzystencji, przedstawianej jako uboga, pełna wyrzeczeń – ale i nieskomplikowanych zachwyty. To trop wiodący od młodego Kasprowicza prostą ścieżką do ostatniego tomu jego wierszy (w rzeczywistości była to kręta ścieżka).

W ślad za przywołaną wyżej definicją, nie różnicuję tu amatorów i pisarzy zawodowych. W sferze regionalnej nie ma to większego znaczenia, może poza zjawiskiem otaczania „prawdziwych pisarzy” nabożną czcią, czasem przewyższającą ich samopoczucie czy realne umiejscowienie na mapie literatury. Niewątpliwie zazwyczaj znają oni więcej nazw tropów, trudniej u nich wyśledzić manierę. Więcej różnych trunków pijali.

Trzeba przejść do przykładów. Posłużę się fragmentami utworów poety, czytanego przecież nie tylko w Małopolsce: Jerzego Harasymowicza. Nazwałbym go poetą zawodowym, do czego ma pełne prawo, ale że wydzieliał z siebie tomiki w tempie nieco ciężącym na poziomie jego twórczości, więc... znajduję go cokolwiek p o m i ę d z y...

Właściwie od początku krajobraz Harasymowicza bywa rustykalny, z anarchicznym upodobaniem do jarmarku, psoty, fantastyki i – ostatecznie – nieco wysiłonej naiwności,

*gdzie zadyмка kręci
kolorowe bąki
cerkiewnych kopuł (...)
gdzie strachy na wróble
biją się
u stodół*

*jeden drugiemu
zdejmuje niebieski
gamek
i sika (...)
tam
trzej królowie
wiadro wyrywają
dziewce u studni*

(*Najlepiej*, [w:] *Wieża melancholii*, 1958)

(Dla współczesnego czytelnika informacja: komuniści płacili bodaj 10 zł od wersu. Zapewne dlatego „biją się u stodół” – w dwu wersach, nie w jednym. Oczywiście, da się to też uzasadnić inaczej.)

Szkolnym zadaniem byłoby łowić u poety nawiązania do Gałczyńskiego, próby z Białoszewskiego, Grochowiaka. Instruktywne może być porównanie z gorzkim wierszem Miłosza *Przedmieście* raczej banalnego obrazka poniżej:

*A dziś niedziela i Kraków siedzi na chórach
Więc trzeba na Błonia na ten salon koński (...)
Tam się najlepiej na świecie zasypia
Tam zawsze grają w karty i zawsze jest lipiec
Tam grają w piłkę jeden mecz przez rok (...)
Moja koszula i broda niezmiennie od tygodni
Dziwnie intrygują błękitnych proboszczy prawa*

(*Niedziela*, [w:] *Budowanie lasu*, 1965)

Podmiot liryczny Harasymowicza z reguły jest *u c z e s t n i k i e m*, a co najmniej obserwatorem, wchłoniętym przez scenerię wiersza. Uporczywie sakralizuje on codzienność; liczba nieb, chmur, cerkwi, ikon, świec i lichtarzy jest w jego wierszach nieprzebrana:

*Jeszcze rozpoznają gór kożuchy
zmierschające
przy czerwonych świeczkach wiklin (...)
Jest zwózka cerkwi z nieba
zwózka zimowych krajobrazów
Wozak ubrany w waciak zmierschu
wiezie stertę lichtarzy*

(*Zimowy zmiersch*, [w:] *Na cały regulator*, 1985)

Częste – i nieco natrętne – jest nagromadzenie metafor: „gór kożuchy”, „świeczki wiklin”, „zwózka cerkwi”, „waciak zmierschu”. Oczywiście, poezja żywi się metaforą, ale czasem występuje tu (i u naśladowców) przesyt zestawień rzeczownikowych. Na ile znam poetów regionalnych, ten właśnie sposób użycia metafory stosują w nadmiarze.

Zobaczmy jeszcze, jak sprawy się rozgrywają w jednej zwrotce późnego wiersza (*Wierchomla*, [w:] *Wiersze beskidzkie*). Przyjrzyjmy się kreacji podmiotu lirycznego:

<i>Gadali wszyscy tabak ómili</i>	[uczestnik grupy chłopskiej, „swojej”]
<i>Lecz ja milczałem w gromów huku</i>	[heros bez lęku, „osobny”, inni chcą zapewne „zagadać” burzę]
<i>Lubiłem bowiem w taki dzień</i>	[postępuje według własnych skłonności]
<i>Na świat zarzucać płachtę cudów</i>	[Mistrz magii – motyw powtarzający się u J.H.]

Te parę próbek – myślę – wyjaśnia, dlaczego twórczość Harasymowicza była tak popularna. Ujawnia zarazem specyfikę takiego poetyzowania, gdzie natarczywie zaleca się nieco podejrzanej proveniencji, bo po inteligencku unaiwniana – anarchiczna – egzystencję. Ewangelia czytana przez anarchistę – wyznając, że ten rodzaj lektury dość mnie ciekawi, ale jednak wtedy, gdy jest to lekcja pogłębiona.

Rekwizyty: las, chmury, madonny, nawiązania do kultury lokalnej i, po części, odległej w czasie (Łemkowie, kozactwo, sarmacja), to wszystko, co mieści popularna mitologia *d a w n o w y g n a n y c h z s i o ł a*, stanowi materię tej poezji, jej wyróżnik, ale i skazę.

2. Biografizm. Jak folklorizm (inicjowany w XVIII w.) wybuchnął w romantyzmie, tak i szwadronowi romantyków zawdzięczamy „robienie” wierszy ze strzępów autobiografii, przy czym było to posunięcie równie bezwstydne co u Mickiewicza, tyle że nie sięgające (w swej masie) poziomu artystycznego i uogólnionych znaczeń jego poezji.

Regionaliści posługują się „z natury rzeczy” tym samym materiałem: swoim doświadczeniem – by tak rzec – przeżyciowym. Weźmy teraz za przykład wiersze Wandy Łomnickiej-Dulak, subtelnej poetki z południa Sądecczyzny. Część jej twórczości zapisana jest w gwarze górali piwniczańskich i nawet debiutuje ona w roku 1993 dwoma tomikami: poetyckim modlitewnikiem w języku ogólnopolskim oraz po części gwarą pisanym zbiorkiem *Śladem serdecznym*. Już sam tytuł tego ostatniego tomu wskazuje na prywatność zapisywanych tu doznań. Oto zaś wiersz, otwierający zbiór:

*Może dożre cie dziadku w niebie
abo za mnom Boga poprosis
i jak downi sie pod wąsem zaśmiejes
kiejżeś mi za dziecka przyniós cosik.*

(*Ide dziadku*)

Tytuły wierszy w tym tomiku (lub ich incipity) mówią same za siebie:

- 1 – [*Ziemia piwniczańska – nopiykniejsy w świecie*]
- 2 – *Piwniczańsko nuta*
- 3 – *Kicorzowe kochanie*
- 4 – *Popradowo mściwość*
- 5 – *Do gór*
- 6 – *Moje miasteczko*
- 7 – *W moim miasteczku*
- 8 – *Rodowód*
- 9 – *Zesły sie góry na posiaady*

10 – *Góralstwo jesień*

11 – *Corni górole*

12 – [*Mrucy Poprod pod loknami*]

13 – [*Piwnicańsko nuta, piwnicańskie granie*]

Uwaga autorki rozdzielana jest sprawiedliwie: skoro był wiersz o jednym dziadku (Józefie), towarzyszy mu – o drugim (Marcinie). Tuż obok wiersz o babce, jednej i nienazwanej z imienia, dokumentuje asymetrię dwu płci, gdzie mężczyźni są osobami publicznymi, kobiety – nie (do dzisiaj, gdy Czarny Góral spotyka grupę znajomych, wita się przez podanie ręki tylko z mężczyznami. Dotknąć baby – niebezpiecznie).

Tak więc osobisty ton wpisujący jest w tę poezję na parę „piętrach”: od języka domu rodzinnego, przez obyczaj (i dominującą w obyczajowości religię) – a więc „piętro kultury” – do krajobrazu dookólnego (też naznaczonego śladami kultury lokalnej) i wreszcie do przeżyć egzystencjalnych: śmierci najbliższych, wspomnień dzieciństwa, dramatu niespełnionego macierzyństwa...

Wszystko to nie znaczy, by już od pierwszych tomików nie było tu wierszy o treściach „zobiektywizowanych” czy o postaciach publicznych. Jeśli jednak pojawiają się, to z reguły postaci te są zarazem figurami silnych zbiorowych wzruszeń: ks. Jerzy Popiełuszko, Jan Paweł II... W ten sposób – i czasem j e d y n i e w ten sposób – poeta regionalny wpisuje się w polskość, trzymając się zarazem „spódnicy matki – grupy lokalnej”. To tak, jak gdy Polacy pielgrzymują do Rzymu, by na Placu Św. Piotra stanąć pod transparentem: „Ziemia Chełmińska” (lub podobnym). Nie tyle są więc poszczególnymi katolikami (co nakazywałyby sens religii chrześcijańskiej), ile dowodzą – na czyj wtedy użytek? – istnienia grupy etnicznej. Nie całkiem są o s o b n i: gniazdują. Zapewne też powiedzą, że „miejska” czy „inteligencka” osobność jest smutna, niewarta poszukiwań. Zapewne i oni czują powiew trwogi.

Potem jednak poeta dojrzewa. Wtedy dookolne buki stają się znakami wśród innych znaków:

*upodobała sobie dusza moja
miejsce w królestwie buków
strażników krajobrazu (...)
cedry Libanu
dęby z Mamre
buki z mojej krainy Kanaan*

(Pieśń o drzewach)

Równocześnie obiektywizują się doznania, a z nimi – gatunki poetyckie. Pojawiają się pieśni, już nie pisane w 1. osobie liczby pojedynczej, lecz z obiektywnym dystansem, ani lepszym, ani gorszym niż wyznanie, jednak bez wątpienia stanowiącym kroku ku wzbogaceniu percepcji świata. Autorka, jeszcze niepewna tego kroku, „ratuje się” dedykacjami wielu wierszy, mniej lub bardziej osobistymi („Oleńce”, „Pani Danucie Szaflarskiej”), czasem tajemniczymi („T.”).

Kolejny tom Wandy Łomnickiej-Dulak, *Zielonej laski pełna*, zawiera 24 dedykacje na 44 wiersze, można więc określić go jako „dedykacyjny”. Być może da się tu odnotować dwie „sytuacje dedykacyjne”. Pierwsza, gdy dedykacja jest niezbędną częścią materii wiersza (jak w pięknym *Prymiście*, pisanym zresztą gwarą). I druga, gdy Autorka chce monetą dedykacji wypłacić się za czyjaś przyjaźń czy choćby czyjaś rolę w swym życiu. Po trosze wychodzi wtedy poza ramy sztuki „czystej”. Nic w tym złego.

Jeszcze inaczej uwikłanie w biografię dokumentowane i wzmacniane jest w kolejnym tomie, *Wszystkie pory świtu*. Cztery grupy utworów odpowiadają czy to fazom życia, czy rodzajom refleksji: *Czas jasny*, *Zielone przemienienie*, *Luna kasztanowa*, *Dojrzewanie śmierci* – a każda taka całośćka poprzedzona jest graficznie przetworzonym zdjęciem z rodzinnego albumu Autorki. Sympatyczne przedsięwzięcie edytorskie i „ciepły” komunikat. Pozostaje pytaniem, czy jednak zarazem nie jest to lęk oderwania się od rodzinnej doliny, poza region i poza regionalizm.

Może nie lęk, lecz surowa samoocena? Jednak „cichy poeta” to czasem oksymoron. No, może nie w przypadku Wandy Łomnickiej-Dulak.

3. Zastępcza metafizyka. Tu piszący te słowa napotyka na pewną trudność. On sam bowiem (jakoś... jakoś...) oddziela „w sobie” wyobrażenie mgliste (czy może być naprawdę inne?) Boga od dyskursu filozoficznego czy choćby od toposu „sporu z Jehową”. Z uwagi na to, że to wewnętrzne wyobrażenie bóstwa nie ma charakteru interpersonalnego, słabo koreluje z pojęciami filozoficznymi.

Psychologicznie rzecz biorąc, skutkuje to mniejszym lub większym „skokiem pojęciowym” od teologii (czy elementarnej, czy też poddanej rygorom) do refleksji egzystencjalnej. Rozpatrywać tu będziemy sytuację, gdy jest to nie tylko „skok barbarzyńcy, który poczuł Boga”, ale gdy „skaczący” wie, że nie wolno wątpić.

Otóż wątplenie znajduje się u podstaw myślenia. Gdy ustaje drżenie umysłu, zaczyna się rytuał systemu.

Poeci regionalni ulegają łatwości porozumiewania się przy pomocy pojęć dostępnych dla ogółu; ten jest bowiem adresatem ich wynurzeń. Norwid czy Rilke jako poeci regionalni byłiby czymś dziwnym. Podobnie Eliot, Cummings i legion poetów współczesnych im czy nam, niezależnie od rodzaju ich wiary.

Z drugiej strony taki oto Mickiewicz daje się czytać na wielu poziomach lektury. Dajmy jednak pokój geniuszom, a przyjrzyjmy się temu rymotwórcy, co się popularnością wybił ponad region, ale nie przypadkiem zwany jest „lirnikiem mazowieckim”. Teofil Lenartowicz:

(...) *Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze,
I ludzie mi drodzy i mili;
I nie wiem, co miłsze nad wiejskie poddasze?*

(*Wiecznie to samo*)

(...) *Mazur ci ja, Mazur,
Spod Warszawy rodzic,*

*Nie zaden pan baron
Ani wojewodzie.*

(*Mazur*)

Ustaliwszy geografę, spojrzmy na jeden z najbardziej znanych, zresztą uroczych wierszy: stylizowany modłą romantyczną *Złoty kubek*.

(...) *Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę:
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.*
(...) *Pan Bóg łaskaw na sierotę,*
(...) *A po bokach małe sioto,
A na spodku małe dzieci.*
(...) *Kto się w dłonie wziąć ośmieli,
W złotym denku przejrzeć lice?
Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja, i dziewice.*

Bóg z dziecinnych rojeń, świat z wyszywanej makatki nad kołyską. Podobnych wierszy napisał Lenartowicz wiele:

(...) *Ot, i dzwoni już dzwonek
Na wieśniaczym kościele,
Dzięki Bogu za dzionek,
Za serdeczne wesele,*

(*Mazur za wołami*)

(...) *Mróz wszelkie czucie ściał
I Pan Jezus duszę wziął*

(*Duch sieroty*)

(...) *Aż tu patrzeć, moc Boska:
W głuchej sadu ustroni
Lilia w lilię zadzwoni.*

(*Ballada*)

Motyw ubogiej prostoty czasem łączy się, jak w cytowanym *Duchu sieroty*, z nędzą wiodącą do zgonu. Nigdzie jednak nie pojawia się dyskurs z Bogiem, co najwyżej kontrast, zresztą w cytowanym niżej fragmencie dość szczegółolny:

(...) *Oczyść nas Twej szaty płótnem,
Jednym wiewem złotej poły,
Niech się kocham w życiu smutnem
I w wieczności Twej wesołej.*

(*Stabat Mater*)

Motyw „wesołej wieczności”, trzeba przyznać – nieczęsty, usprawiedliwia się jedynie przez kontrast ze smutnym życiem człowieka. Ot, i tyle tu metafizyki.

Powie ktoś, że Lenartowicz notorycznie kreuje unaiwnione podmioty liryczne, zatem i refleksja nie może być pogłębiona. Jednak pamiętajmy, że literatura nie jest aż tak prostacka: znamy dziesiątki utworów, gdzie „czarny płomień” egzystencji prześwieca przez konstrukcję naiwnego obserwatora.

Zaś dla naszych rozważań Lenartowicz stanowi wzorcowy przejaw ucieczki w stereotyp wiary niewymagającej i niedopuszczającej pytań filozoficznych. Przejaw postawy w s p ó l n o t o w e j, plemienniej.

Odnotujmy na koniec, że poszliśmy tu tropem rozmowy z/o Przedwiecznym. Jest przecież inny trop: ekstazy, zachwytu. Zakorzeniony w pieśni, w muzyce, w tańcu.

4. Tradycjonalizm. Jego istotą – pisał o tym Czarnowski – jest, iż wszystkie elementy kultury zastanej, zarówno niedawne, jak i odwieczne, traktuje się jednakowo, bez świadomości zmiany. Gdy zaś ta świadomość nie ma się gdzie wykształcić i udowodnić tym samym ustawiczną k o n i e c z n o ś ć zmiany, sama próba modyfikacji nawyków i przyzwyczajień jest z góry odrzucana. Jest to zresztą odrzucenie daremne, a wszelka daremność przybiera profil heroiczny.

O harmonii z tradycją, czytana w krajobrazie i w cerkwi, urzekająco pisze Julia Doszna we wstępie do albumu *Cerkwie południowej Polski*:

Każdy z nas ma na ziemi takie miejsce – jedyne, wybrane tylko dla niego. Dla mnie tym przeznaczeniem jest Łemkowyna, kraina dzieciństwa z pierwszymi jej dźwiękami, z jej przestrzenią i krajobrazem.(...) Bosymi stopami wyczuwałam rytm życia mojej ziemi, oddychałam jej oddechem, uczyłam się jej zapachów, doświadczałam jej smutku przemijania, śmierci.

Myślę jednak, że nie zawsze miejsce wybiera człowieka, czasem bywa odwrotnie.

Jakkolwiek generowana, tradycja jednych wciąga bez reszty, zakreśla wokół nich czarodziejski krąg, którego nie przekraczają. Są z a d o m o w i e n i w pogodzie swego kraju. Inni – ci wydają się jakoś mniej szczęśliwi, a zarazem bardziej w o l n i – zabierają w podróż przez życie tylko niezbędne artykuły. Pod jesień czasem osiadają, jeśli zdążą.

Rezygnuję tutaj z podawania przykładów; prawie zawsze pojawia się ten silny nurt akceptacji „zasad domowych”. Jakby wymazane zostały konflikty, jakbyśmy nie byli współwinni. Może – dla niektórych przynajmniej – życie było tak bolesne, że sztuka m u s i być jego przeciwwagą, nie przywołaniem.

Wydaje się, że każdy poeta regionalny powinien mieć nad stołem – ku przestrodze – umieszczony wiersz Tytusa Czyżewskiego *Miasto w jesienny wieczór. Niesielanka*:

*wdziej ciepłe astrachany
termometr wciąż opada
od knajpy śpiew pijany
dysonans serenada
w kościele dzwonią dzwony
ktoś kogoś kopnął nogą
w kanale z mgieł opony
i psy już wyć nie mogą
ni słońce się nie śmieje
nad miastem płyną dymy*

*kogut na zmianę pieje
z cmentarza kąpią rymy
mknie autem nierządnicą
tramwaj w aleje znika
wyblanszowane liła
pantofle nieboszczyka
czuć zapach świeżej ziemi
i trzepią stare meble
fa so la si do re mi
drabiny białe szczeble
w ochronce płaczą dzieci
i chmury mkną powoli
purpura zorzy świeci
łachmanom ludzkiej doli*

Ćwiczeniem na piątkowy wieczór niechby była próba opisu własnej prowincji – podobna.

Przedstawiwszy powyższe narzekania, ich autor pragnie się teraz przedstawić jako zdeklarowany sympatyk regionu jako źródła wzruszeń o bogatych odcieniach, od bólu i trwogi do zachwyty i niewymuszonej (kto potrafi) pogody ducha. Jego przedpamiętane dzieciństwo upłynęło w państwie muszyńskim. Potem przysły inne krajobrazy, zmienne, wielkich miast i dalekich prowincji. Czy ma się czuć uboższy, czy też właśnie uprawniony do opisu relacji z krainą Rusinów i polskich górali, Słowaków i (ongi) Żydów, Niemców, Węgrów, a nawet Italczyków. Są to relacje i wahania własne; tutaj opisywane w zetknięciu ze sztuką słowa.